Marek Wawrzkiewicz

Milczenie

... to miasto jest snem.
Camus

Tak, miasto jest snem. Wyludnione
Przypomina jesienny cmentarz. Przechodnie
Umykają przed spojrzeniami witryn.
Gdzieś tam dogasa gwar z eleganckich restauracji
I barów udających przaśność.

Miasto jest snem. Wiem, to niestosowne porównanie,
Ale ty też jesteś snem. Zakosztowałem uroków miasta
W przeszłości tak zamierzchłej, że aż nieprawdziwej,
A teraz nie znam już miasta. I, być może, ciebie.

Powiadam: – przywróć mi słodycz wiosennego wieczora,
Przywróć wiatr biegnący przez tataraki,
Woń kwitnących sosen, smak poziomek,
Przypomnij to, co zapomniałem i to, w co nie wierzę,
Niech się stanie, co się stać nie może.

Milczysz

Kraj maskowy

Pozwólmy sobie na domysł:
Ta kobieta jest z pewnością prześliczna.
Zostańmy z tym przekonaniem,
Odejdźmy, zanim zdejmie maskę.

Popatrzmy raczej na siermiężnego trybuna –
Jego worki pod oczami czynią go bliskim,
Jak nasze własne odbicie w lustrze. Ale on
Otwiera usta. – Załóż maskę! Krzyczymy
Przez maskę.

Ten, który wyżej ceni honor niż maskę,
Maskuje swoją wielkość nieznacznym wzrostem.
Inny udaje idiotę. To maska,
Ale przecież doskonała.

Szczęśliwi są ci,
Których twarze widzieliśmy sto razy
I nie zapamiętaliśmy. Teraz
Noszą wymyślne maski. Wreszcie
Odebrano im anonimowość.

Maska kryje szyderczy uśmiech
I tamuje plwociny.
Upowszechnia zdradzieckie mordy,
Choć ich nie ułaskawia.
Nie wiadomo, na którą zapadnie wyrok,
Nie wiadomo, na którą wypadnie

Smog maskuje słońce,
Chmury czyste niebo.
Zimowy śnieg maskuje się kałużą.
Nie wyrobił się ambitny kameleon –
Położyli go na tęczy. I zdycha.

Nasz prasłowiański Swarożyc
Stosuje dwie maski – zachodnią i wschodnią.
Na południu próchnieje częstokół gór,
Rdzewieje szabla, tłucze się szklanka.
Na Bałtyku tonie zamaskowana
Orkiestra z Tytanika.
Grają. Czy to jeszcze Mazurek, czy już bulgot?

Wojna

Szaro-białe obłoki. Opona na niebie.
Słońce zaledwie przez nie prześwituje,
Ale dzień zapowiada się parny i upalny.
Bezsilny księżyc pojawia się tylko o świcie,
Niczego nie obiecuje i niczym nie wabi.

Dotykam cię nieśmiałą myślą i nawet nie
wiem, Czy chcesz się przed tym bronić.
Jesteśmy przecież zmęczeni
Bezkrwawą wojną z sobą i losem. Skryłaś się w okopie,
Skąd niekiedy widać dym polowej kuchni.

Verdun. Woń gazu musztardowego i iperytu.
Wchłaniamy ją tak długo, że już nie truje,
Jest słodkawa jak niespełnienie i ewentualność
Zawieszenia broni. Wierni przysięgom
Trwamy w sobie i przeciwko sobie. Nie kusi mnie
Niewierność. Zbyt krótkie są przesmyki
Między nocą a dniem. Są wprawdzie brzaski,
Ale znużeni najczęściej je przesypiamy.
Z głowami na piasku, z myślami jak piasek
Pełen niewybuchów.

Żwirownia

Po wakacjach okazało się, że naszym dziewczynom
Urosły piersi. Owszem, wiedzieliśmy, że piersi mają
Dziewczyny z wyższych klas, a nawet kobiety, ale
Nie przydarzało się to Izie, Dance, a tym bardziej Teresie.

Ale stało się. A skoro nasze koleżanki
Zaposiadły piersi, musieliśmy to przemyśleć.
Rozważaliśmy sprawę grupowo i indywidualnie.
Na przykład ja myślałem o tym, jak wyglądałyby w staniku
Piersi Izy, Danusi, a przede wszystkim Teresy,
Gdyby na przełomie lipca i sierpnia pojawiły się
Na żwirowni, którą napełniały tajemnicze strumienie.
Woda była ciepła na powierzchni, a lodowata na dnie.
Jakby w tych wodach wyglądały piersi Izy, Danki,
A przede wszystkim Teresy.
W niedzielne przedpołudnie upalnego września Teresa
Przyjechała rowerem na żwirownię. Była w czarnym,
Jednoczęściowym kostiumie, który łakomie opinał
Jej dojrzewające piersi. Kąpaliśmy się razem, ale
Ich nie dotykałem, choć chyba ona tego chciała.
Dzisiaj myślę, że wtedy było za wcześnie, a teraz jest za późno.

Minęły lata i znów jest tak samo, mimo że to
Ani za wcześnie, ani za późno. Oczywiście chodzi
O inne piersi, ani Izy, ani Danki, a tym bardziej Teresy.

Ciekawe, czy jeszcze płyną podziemne strumienie
I czy żwirownia nie wyschła

Bogactwo

Warto było żyć. Stałem się właścicielem
Rozległego cmentarza. Spoczywają we mnie
Rodzice, żona, ciotki, stryjowie, przyjaciele,
Poeci, którymi się zachłystywałem. Dłoń
Pamięta jeszcze uścisk ich dłoni.

Owszem, granity i piaskowce czasem się uginają
Pod ciężarem opadłych liści klonu i brzozy,
Bo ich nie zmiatam. Pamiętam, że wszyscy
Tyle istniejemy, ile liść jesionu czy igła modrzewia.
Więc może dlatego. Zamiast znicza
Zapalam papierosa, który mnie do nich zbliża.

Ale nie spocznę z nimi. Może
Ktoś mnie pogrzebie na swoim prywatnym cmentarzu,
Pod płotem, pod topolą, pod wiatrem,
W kwaterze dla samobójców i bezdomnych,
W tłumie innych liści

Koniec świata

Popiołem w niebo wzięty. Świat umrze razem ze mną,
Ale tylko mój świat. Nie będzie go dla mnie i mnie dla niego.
To niewiele, prawie nic, a przecież to wszystko.
Nie będzie pierwszego wiosennego powiewu wiatru
I wybuchu magnolii. Nie będzie jutra i pojutrza, i tego
Co należało zrobić, ale odkładało się na potem.
Nie będzie przeszłości, a tym bardziej przyszłości,
A teraźniejszość potrwa tylko ułamek sekundy.
Odlecą łabędzie znad jeziora, ugasną sosny.
Będzie tak, jak było,
A przecież nie będzie.

Wiersze pochodzą ze zbioru *Chwila jawy*. Wydawca: Marszałek. Development & Press 2021.